



mgr inż. Zbigniew STĘPIEŃ

Emeryt, w październiku 2020 skończył 80 lat, mieszka w Krakowie, działa jako wolontariusz w Szlachetnej Paczce i klubie seniorów. Prowadzi blog: zyciegeodety.blogspot.com.

Zbigniew Stępień – student Politechniki Warszawskiej, rok 1959

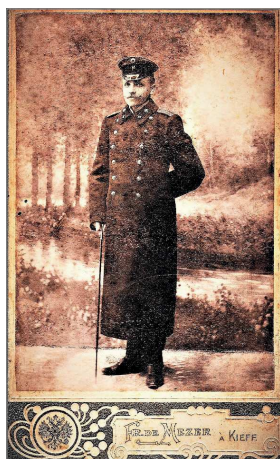


Georeminiscencje Zbigniewa Stępnia

Jako syn i wnuk geodety kontakt z geodezją miałem od dzieciństwa. Mój dziadek inż. Jan Stępień (ur. w 1882 r.) w latach 1904-1906 studiował geodezję w średniej szkole mierniczej w Pskowie w Carskiej Rosji, razem z Janem Piotrowskim, późniejszym profesorem Politechniki Warszawskiej. Potem ich drogi się rozeszły. Mój dziadek uzyskał tytuł inżyniera na Politechnice w Petersburgu, a Jan Piotrowski w Moskwie. Mój Ojciec Andrzej Stępień (ur. w 1911 r.) kontynuował rodzinną tradycję i w 1935 r. rozpoczął studia na Wydziale Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej. Wojna je przerwała, ale ukończył je w 1946 r., otrzymując dyplom mgr. inż. geodety. Swoje pierwsze egzaminy zdał u prof. Jana Piotrowskiego. Kiedy ja rozpocząłem swoje studia na tym samym wydziale, w roku 1959, również trafiłem na pierwszym roku do prof. Jana Piotrowskiego.



Mój dziadek Jan Stępień na studiach geodezyjnych w służbie geodezyjnej w Carskiej Rosji



W Carskiej Rosji, 1905 rok

Trzy pokolenia związały się z jednym zawodem w czasach tak bardzo różniących się pod względem społecznym, politycznym, geograficznym i rozwoju techniki. Po śmierci mojego ojca w 2003 roku znalazłem jego pamiętnik, w którym opisuje swoje życie i pracę zawodową w Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym w Warszawie, w którym pracował do końca życia. Po wojnie zajmował się głównie projektowaniem sieci triangulacyjnej na całą Polskę w tak zwanym wywiadzie geodezyjnym. Jako szef grupy geodetów wykonujących te prace, wynajmował kwatery w terenach objętych projektem w różnych częściach Polski. Ponieważ jego żona, a moja mama, była jednocześnie jego sekretarką, zabierał całą swoją rodzinę (mam jeszcze dwóch braci) w teren od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Dzięki temu poznaliśmy piękno naszej Polski, uczyliśmy się w różnych wiejskich szkołach podstawowych, w warunkach zupełnie różnych niż obecnie.

Ojciec mój mgr inż. Andrzej Stępień był bardzo znaną postacią w poprzednim pokoleniu geodetów. Był długo aktywny. Na emeryturze organizował w SGP wycieczki turystyczne dla geodetów.

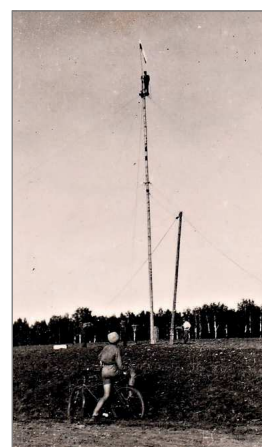
W 1954 roku jako kierownik grupy geodezyjnej wyjechał na kontrakt do Korei Północnej w celu odtworzenia sieci triangulacyjnej po wojnie amerykańsko-koreańskiej. Napisał o tym pamiętnik.

Kontakt z przyrodą i ciekawą pracą ojca zachęcił mnie do wyboru tego zawodu. Po zdaniu matury w Liceum im. Tadeusza Rejtana w Warszawie, złożyłem papiery na Wydział Geodezji i Kartografii, gdzie po zdaniu egzaminu wstępnego w 1959 roku rozpocząłem studia.

Okres moich studiów to ciekawy i przyjemny czas mojego życia. Miałem wspaniałych wykładowców, wielu jeszcze przedwojennych, jak choćby prof. Jan Piotrowski z geodezji podstawowej, o którym wcześniej pisałem, prof. Hausbrandt z rachunku wyrównawczego, prof. Kamela (przyjaciel mojego ojca) z geodezji wyższej, prof. Bem od rysunku technicznego, prof. Lazzarini, na którego wykłady z geodezji chodziło się z wielką przyjemnością, bo prowadził je wspaniale, przedstawiając wiele przykładów z życia i pracy zawodowej geodetów, no i wspaniały prof. Wyszkowski z matematyki wyższej, potrafiący tak interesująco wykladać, że choć był to trudny przedmiot do opanowania, fascynował studentów. W jego katedrze była pani adiunkt o nazwisku Glidman o ogromnej wiedzy matematycznej. Była drobna, szczupła i koścista. Siała postrach wśród studentów. Na ćwiczeniach każdemu ze studentów zadawała jedno pytanie z wykładu. Jeśli nie odpowiedział, wypraszała go z sali, bo był nieprzygotowany i na następnych zajęciach musiał odpowiedzieć na poprzednie pytanie i pytanie z nowego wykładu. Robiła to wszystko z ironicznym uśmiechem i dużym spokojem i tak samo stawiła dwójce. Miałem z nią bardzo śmieszną przygodę. Choć nie byłem



mgr inż. Andrzej Stępień; kancelaria w terenie, 1961 r.



Sprawdzanie ze słupów widoczności wizur celem ustalenia wysokości zabudowy wież

najlepszy w matematyce, lubiła mnie, bo chodziłem na wszystkie wykłady i ćwiczenia, niemniej nikogo w życiu tak się nie bałem jak jej. Pani adiunkt mieszkała na Mokotowie niedaleko mnie i na uczelnie jeździliśmy tym samym trolejbusem. Kiedy widziałem, że stoi na przystanku, zawsze czekałem na następny trolejbus. Któregoś dnia, a było to zimą, spieszyłem się i wsiadłem do tego samego pojazdu, w którym była ona. Wysiadając przy Nowowiejskiej, pani adiunkt poczekała na mnie, więc ukloniłem się grzecznie, na co podała mi rękę w rękawiczce, ale ja zawałem się, czy mam zdjąć swoją, tymczasem ona już zdążyła opuścić rękę, zanim ja się zdecydowałem zdjąć swoją rękawiczkę i podać jej rękę. Śmiesznie to wyglądało, ale ona uśmiechnęła się, widząc moje zakłopotanie i powiedziała, że nic się nie stało. Razem szliśmy na uczelnię, ja bardzo zażenowany, a ona swobodna zadawała mi pytania, na które zdawkowo odpowiadałem. Pierwsze ćwiczenia były akurat z matematyki i pani adiunkt na tablicy napisała dość skomplikowaną i trudną całkę do rozwiązania i poprosiła właśnie mnie do tablicy. Zrobiło mi się

gorąco, ale cóż było robić. Zabrałem się do rozwiązywania. Zapisalem już dwie tablice, ale końca nie było widać. Widząc moje zdenerwowanie, zlitowała się, podziękowała mi i poprosiła o dokończenie Witka Prószyńskiego, obecnego profesora i kierownika Katedry Geodezji Inżyniersko-Przemysłowej, nadzwyczaj zdolnego studenta. Witek z wielką łatwością rozwiązał tę całość, wprowadzając różne skrótowe myślowe i zaskakując panią adiunkt, która nie mogła nadążyć za jego rozumowaniem.

Witek Prószyński był nie tylko bardzo zdolnym studentem, ale również człowiekiem o wielkim poczuciu humoru z dużym dystansem do siebie. Studiowałem z nim na jednym roku i przyjaźniliśmy się. Podczas jednego z egzaminów z matematyki u prof. Wyszkowskiego, który chciał mu postawić dobry stopień, czyli czwórkę, zabrał indeks, zgłaszając się na drugi dzień i otrzymując piątkę. Przypomniało mi się w tym momencie bardzo zabawne zdarzenie, jakie miało miejsce na naszym wydziale z prof. wykładającym budownictwo i wytrzymałość materiałów. Otóż profesor ten został zaproszony ze swoją żoną na jakiś bal studencki i sam nie lubiąc tańczyć, dał do zrozumienia jednemu ze swoich studentów, aby zatańczył choć raz z jego żoną. Tymczasem student ten bawił się z nią do końca balu. Kiedy przyszedł na egzamin do tego profesora, on poprosił go o indeks i wstawiając mu piątkę, powiedział – a to za wytrzymałość!

Zazdrościłem Witoldowi talentu, bo sam miałem na pierwszym roku duże trudności z matematyką i choć nie opuszczałem żadnych wykładów i ćwiczeń, to oblałem pierwszy egzamin i poprawkowy. Zostałem zmuszony do zdawania egzaminu komisyjnego, który decydował o moim pozostaniu na uczelni. Przygotowałem się do niego bardzo solidnie. W komisji znalazło się trzech znanych profesorów: Hausbrandt, Kamela no i oczywiście prof. matematyki Wyszkowski. Egzamin przebiegał bardzo po mojej myśli i chcąc postawić mi lepszy stopień, prof. Wyszkowski zadał mi dodatkowe pytanie: „proszę powiedzieć, jaki twór geometryczny tworzy wzór $X*Y*Z = 0$ ”? Oczywiście pytanie było bardzo proste, ale mnie ogarnęło jakieś zaciemnienie umysłu, bo myślałem, że to już koniec egzaminu. Prof. Kamela, wiedząc, że jestem synem Andrzeja, skrzyżował pod stołem dwie ręce, co zauważyłem i powtórzyłem ten ruch przed komisją, na co prof. Wyszkowski powiedział świetnie, ale ja nie bardzo rozumiałem o co chodzi i powiedziałem tak, na co prof. Kamela wyratował mnie z opresji, mówiąc, że wzór ten przedstawia ortogonalny układ trzech płaszczyzn, co ja zaraz potwierdziłem i dostałem dobry stopień, czyli czwórkę.



Na praktyce w Grybowie przy pomiarach tachymetrycznych, ja w krótkich spodniach, Witek tyłem z latą

Studentów na Wydziale Geodezji i Kartografii PW integrowały obozy z praktyką w różnych i ciekawych miejscach w Polsce jak np. Koronowo koło Ostrowi Mazowieckiej, Grybów, Sabinowo, Kortowo w Olsztynie. Obozy te wspominam z wielkim sentymentem i każdy z nas ma wiele miłych wspomnień z tego okresu. Byliśmy młodzi i pełni fantazji. W każdym wolnym czasie szukaliśmy rozrywek. I tak po drugim roku studiów mieliśmy obóz w Grybowie z zadaniem wykonania poligonizacji precyzyjnej oraz pomiaru i wykreślenia mapy sytuacyjno-wysokościowej. Wieczorami i w niedzielę spotykaliśmy się w jedynej w Grybowie kawiarni Irys przy kawie i winie. Miałem

tam śmieszna przygodę. Któregoś dnia, kiedy dobrze zaszumiło nam w głowach po wypiciu kilku kieliszków wina, koledzy, którzy znali moje wyczyny gimnastyczne (kilka lat trenowałem gimnastykę przyrzadową) zaproponowali, abym zrobił salto w tej kawiarni. Mnie nie trzeba było długo prosić, bo lubiłem popisywać się swoją sprawnością, a zwłaszcza, że trochę zaszumiło mi już w głowie. Zaraz rozsunęli stoły i krzesła, a ja niewiele się zastanawiając, z rozbiegu odbiłem się i wykręciłem w powietrzu półtora salta, co spowodowało, że upadłem na czworaka blisko drzwi kuchennych. Na nieszczęście w tym momencie otworzyły się drzwi, z których wyszła kelnerka z tacą pełną kieliszków z winem i filiżanek z kawą. Nie zdążyła się zatrzymać i potykając się o mnie, przeleciała nade mną, wypuszczając tacę. Sala zamarła, ale kiedy podnieśliśmy się z podłogi, wszyscy wybuchnęli śmiechem, oprócz mnie i kelnerki. Przeprosiłem ją natychmiast, a na drugi dzień kupiliśmy jej kwiaty.

Jeden dzień w tygodniu mieliśmy studium wojskowe, na które przychodziliśmy w połowych mundurach. Wówczas wszyscy wojskowi, zwłaszcza oficerowie chodzili w galowych mundurach i każdy podwładny, przechodząc obok, musiał oddawać honory, przykładając dwa palce do daszka. Tak się kiedyś zdarzyło zimą, że wstając wcześnie rano jeszcze po ciemku, nie chcąc obudzić śpiących rodziców, ubrałem w korytarzu wojskowy płaszcz i czapkę. Idąc do studium wojskowego, oddawałem, zgodnie z regulaminem, honory spotykającym oficerom, dziwiąc się, że nikt mi ich nie oddaje, co nigdy się nie zdarzało. Dopiero kiedy znalazłem się w studium wojskowym, koledzy zaskoczeni moim wyglądem, pytali: *W studium wojskowym PW*



W studium wojskowym PW

co ty masz za czapkę na głowie? Jakie było moje zaskoczenie, kiedy po zdjęciu czapki zobaczyłem, że zamiast polowej, wojskowej czapki, mam na głowie czarną dżokejkę, która też miała miękką daszkę i po ciemku nie zauważyłem co zakładałam na głowę. Przygód takich w wojsku miałem wiele.

Czwarty rok studiów to okres przygotowania się do pracy dyplomowej. Z moim przyjacielem Edkiem Nowakowiczem otrzymaliśmy w ramach pracy dyplomowej, od prof. Frelka do wykonania pomiar dwóch wsi w skali 1:2000, wykreślenie ich i opracowanie na nich planu przestrzennego zagospodarowania z dokładnym opisem.

Do wykonania tych pomiarów otrzymaliśmy od Wojewódzkiego Biura Geodezji i Urzędzeń Rolnych w Kielcach potrzebny sprzęt geodezyjny, betonowe słupki do stabilizacji poligonów geodezyjnych i pieniądze na transport i opłatę kwatery do zamieszkania. Dla formalności zatrudnieni zostaliśmy przez to biuro jako zwykli pomiarowi.

Wsie te: Radzanów i Rogalin, położone blisko Białobrzegów, nie posiadały jeszcze takich planów i dla WBG i UR była to wielka okazja, aby za niewielkie pieniądze otrzymać gotowe plany miejscowości.

Po wykonaniu prac w terenie i wykreśleniu map, zrobiliśmy dwa operaty i dwie kopie: jedną dla naszego wydziału, a drugą dla Biura. Otrzymaliśmy za to niezłe pieniądze, które bardzo nam się przydały na rozpoczęcie dorosłego życia.

Egzamin dyplomowy zdaliśmy 3 października 1964 roku z wynikiem dobrym. Był to dla mnie najprzyjemniejszy i najłatwiejszy egzamin, a profesorowie byli nadzwyczaj mili.

Moja przyszłość i moje marzenia, dzięki dobremu wykształceniu, wyglądały bardzo obiecująco i teraz po latach, kiedy jestem już na emeryturze, z wielkim sentymentem wspominam te studia i swoją ciekawą pracę zawodową w Polsce i na kontraktach zagranicznych, zwłaszcza w Północnej Afryce.